I. 105. 039

Dodatek do „Wolnego Słowa".

LEO BELMONT.

Śmierć genialnego muzyka.

(Z TRAGEDYI ŻYCIA).

Wszedł cicho, głowę opuścił, *nie podał mu ręki* i w ponurem milczeniu niemal upadł na fotel..

Tamtemu oczy latały w niepokoju straszliwym.

Drżącemi rękoma opierając się o stół, zapytał głosem złamanym:

— No, co?...

Przybyły ciężko odetchnął i zapytał:

— Jesteś sam?...

— Sam... zupełnie...

— A służba?

— Wysłałem...

I czekał, jak się czeka wyroku śmierci...

Wtedy gość zdławionym głosem wyrzekł:

— Stało się... umarł!

Wówczas ów zadygotał cały. Jego piękna twarz nabrała koloru ziemi. I z jego ust wydarło się w jęku:

— Bracie!.. jakie to okropne!.. jakie to okropne!..

I jął płakać jak dziecko, wtuliwszy się w kąt kanapy.

Gryząc wargi i łamiąc palce przechadzał się drugi po pokoju. Snać pasował się z burzą wewnętrzną, która mu pchała jakieś słowa na usta. Bo otwierał je i zamykał bez dźwięku kilkakroć. Wreszcie nie wytrzymał, stanął pośrodku pokoju i zwracając się do brata, począł mówić z coraz twardszym akcentem w głowie. A tamten, słuchając, osuwał się coraz głębiej w sofę i oczy mu gasły, a twarz czerniała.

Biblioteka Narodowa Warszawa
300010061655849

Śmierć genialnego muzyka. (Z tragedyi życia)

Leo Belmont

Tygodnik „Wolne Słowo”, Warszawa, 1909

Pobrano z Wikiźródeł dnia 28 sierpnia 2025

LEO BELMONT.

Śmierć genialnego muzyka.

(Z TRAGEDYI ŻYCIA).

Wszedł cicho, głowę opuścił, *nie podał mu ręki* i w ponurem milczeniu niemal upadł na fotel..

Tamtemu oczy latały w niepokoju straszliwym.

Drżącemi rękoma opierając się o stół, zapytał głosem złamanym:

— No, co?...

Przybyły ciężko odetchnął i zapytał:

— Jesteś sam?...

— Sam... zupełnie...

— A służba?

— Wysłałem...

I czekał, jak się czeka wyroku śmierci...

Wtedy gość zdławionym głosem wyrzekł:

— Stało się... umarł!

Wówczas ów zadygotał cały. Jego piękna twarz nabrała koloru ziemi. I z jego ust wydarło się w jęku:

— Bracie!.. jakie to okropne!.. jakie to okropne!..

I jął płakać jak dziecko, wtuliwszy się w kąt kanapy.

Gryząc wargi i łamiąc palce przechadzał się drugi po pokoju. Snać pasował się z burzą wewnętrzną, która mu pchała jakieś słowa na usta. Bo otwierał je i zamykał bez dźwięku kilkakroć. Wreszcie nie wytrzymał, stanął

pośrodku pokoju i zwracając się do brata, począł mówić z coraz twardszym akcentem w głosie. A tamten, słuchając, osuwał się coraz głębiej w sofę i oczy mu gasły, a twarz czerniała.

— Coś ty uczynił? — nie z nami, nie z naszem uczciwem imieniem, nie z sercem tych wszystkich, co cię kochali — o to mniejsza!.. Coś ty uczynił ze *sobą* — z *twojem* imieniem? — z *twoją* sławą? — z *twojemi* pieśniami? — z czystym wpływem twojej muzyki?... Jakie ty miałeś prawo zohydzić swój geniusz?!... W jednej chwili pobrukać, pokalać, zapluć, zadeptać, zabłocić — wszystko, co tobie, szczęśliwszemu, natura dała, do czego ludzie się modlili, co ja starszy brat, wielbiłem w tobie?

— Tak... tak... tak... — lękliwie powtarzał tamten, szczękając febrycznie zębami.

Surowy głos ciągnął:

— Jak ty mogłeś tak poniżyć się... przedemną!? Bo jeżeli przedemną, to i przed wszystkimi, których przerastasz tak samo... Czy tobie wolno było zapomnieć, że twoje imię należy do Europy — że jest jednem z tych, które historja zapamięta na zawsze — że teraz nie w blasku, a w błocie przejdzie od pokoleń do pokoleń!.. Czy wolno było zapomnieć tobie, że tyś chlubą naszego kraju, który z takim trudem dorabia się uznania narodów Zachodu — żeś ty jedną z tarcz naszego honoru w obliczu ludzkości?... Złotemi literami napisałeś imię naszego narodu w historyi muzyki — może jeden z najpierwszych, największych w tej dziedzinie u nas — może nawet najpotężniejszy w tej chwili w Europie, jako mistrz tonów — zapisałeś je złotemi

literami, aby rzucić potem w kałużę...

Dlaczego to zrobiłeś?!“

Krzyczał i łamał ręce...

I tchórzliwie tamten opuszczał głowę — i garbił się — twarz mu jakgdyby malała — mięśnie krzepły i kurczyły się — a przebierając bezradnie rękoma, głosem zawodzącym tłomaczył się i obwiniał zarazem:

— Postąpiłem podle... szukałem nowych nieznanych wrażeń... Czasem życie, sława, wszystko nudzi... O, ty tego nie rozumiesz!.. Szuka się podrażnień nieznanych, szalonych... Było się marzeniem w niebie — aż tam, gdzie wrota nieba są zamknięte... już dalej iść niepodobna... Próbuje się: rozewrzeć błoto... i piekło... Iść przeciw naturze — to wydaje się: zwyciężyć naturę... postawić swoje „ja“, swoje „chcę“ wyżej jej przepisów, praw!... A zarazem zadrwić z porządku społecznego... zaprotestować przeciw despotyzmowi jego narzuconych rozsądno-hygienicznych przepisów... w zbydlęceniu potwierdzić swoje ludzkie „ja“... boski kaprys swojej woli... A! jakie głupstwa!.. jakie głupstwa!.. podłe świństwo!.. Jest się zdruzgotanym!.. Niepodobna prosto ustać w formie bydlęcej... O, gdybym miał na swoją obronę choćby... chorobę, zwyrodnienie, nienaturalność popędów od urodzenia! Ale nie... nie... tylko podły kaprys zepsucia... tylko wybryk przesytu... tylko hańba... i zbrodnia!

Zerwał się z kanapy.

— Nie! nie! — wołał dziko — ja tylko rozum straciłem... To nie był grzech.. zbrodnia... to było coś gorszego... to była *klątwa!*

— No, ale co teraz będzie?... Czyś o tem myślał?..

I zanim tamten zdążył odpowiedzieć, mówił:

— Ja myślałem za ciebie... Słuchaj... trzeba działać... Wracam od ojca.. tego studenta... Myślałem, że milczeć będzie ze względu na pamięć syna... Powiada: „umarli nie noszą hańby...“[1] Powiada: „syn mój był niepełnoletni...“ Powiada: „winien kusiciel... ten, co urządzał orgię... Spoili mi syna“. Groził prokuratorem... Powoływałem się na twoją sławę, na twój geniusz. Odpowiedział twardo: „genialnym ludziom nie wolno rozbijać na równej drodze... Ludzkości tacy geniusze są niepotrzebni...“

— Więc... grozi sądem?

— Tak!

— Ależ to niemożliwe!..

— To nie-mo-żli-we... Musisz ratować twoje imię... dla sztuki i dla ludzkości... Prosiłem o ekspiację dla ciebie... Dał się ubłagać... Udzielił nam trzy godziny czasu... Słuchaj... *musisz*!..

Muzyk wyprostował się nagle i przez poczerniałą żółtość jego twarzy przeleciał jasny płomień i twarz wydała się piękną, jak zwykle — jak w godzinach, kiedy tworzył i grał:

— Rozumiem: *„Miortwyje srama nie imut“!* Sam o tem myślałem...

— Więc zgoda?

— Zgoda!

— Bracie, daj rękę...

— Dziękuję ci...

Uścisnęli sobie mocno ręce. Muzyk spytał:

— Ile mam jeszcze czasu?

Brat spojrzał na zegarek:

— Jeszcze godzinę... Do szóstej... Przyniosłem ci...

I patrząc prosto w oczy brata, jakby mu chciał dodać odwagi, wyjął z kieszeni słoik, na którym był rysunek trupiej główki i piszczeli i postawił na stole...

Ręka mu drżała nieznacznie.

— Nie trzeba tego dużo wziąć. To *zaraz* działa...

Dolna warga zatrzęsła się trochę i lekko zadzwoniły mu zęby...

— Dziękuję ci... Mogę cię teraz uściskać?...

Rzucili się sobie w objęcia — i chwilę płakali razem, mieszając słoność i żar swoich łez.

Muzyk pierwszy wyrwał się z objęć brata.

— Słuchaj... ale to pewne, że potem żadnych przypuszczeń?...

— Bądź spokojny... mówiłem z doktorem N. Przyrzekł pomoc... napisze akt zajścia...

— Słuchaj, podobno do redakcyi gazety: „.....“ przedostały się jakieś... „plotki...“

— Bądź spokojny... Doktór N. ma tam znajomość... Dziś wieczorem pojawi się wiadomość o twojej chorobie... Już ją dał... Przewidziane wszystko... Jutrzejsza wiadomość nie będzie niespodzianką... Zresztą może przetrzymamy ją do wieczora... żeby nie było tak nagle...

„...Chcesz może uporządkować papiery? Coś napisać?... list do... matki?

— Ta-ak...

— Dobrze... To ja zejdę na dół... i będę... pilnował...

— Dlaczego?..

— Może... ojciec tamtego nie dotrzymał słowa... Wygrażał się bardzo...

— Więc mogą... po mnie przyjść...?

— Tak... Będę pilnował... Pisz przy oknie... Dam ci znać...

— Dobrze... Więc... więc... już wszystko?... Dobrze... idź!.. Daj tylko rękę... no... i raz jeden pocałujmy się...

Usta ich zwarły się krótko...

Z czerwonemi obwódkami około oczu — spiesząc się — jakby obawiał się złamania woli własnej i młodszego brata — starszy odchodził ku drzwiom.

Muzyk zawołał nań jeszcze na progu.

— Bracie, bardzo mną gardzisz?...

Tamten zatrzymał się chwilę — potem czoło namarszczył i rzekł:

— Nie!

— Szczerze?

— Szczerze... Całą noc dzisiejszą czytałem Fedona... djalog o miłości... Jeżeli Plato.. boski Plato, chcąc dać przykład miłości i jej uniesień wielkich — bez cienia wstrętu, bez wzdrygnięcia, jako normalny przykład bierze ten... grzech... Jeżeli dla Sokratesa — to właśnie jest jednym z wzorów miłości, jeżeli on uległ temu, to... to... Może w zasadzie... to... Słowem... gdybyśmy nie byli opętańcami... żydowskiej moralności, przerażonej pogromem Sodomy...

— Kłamiesz... chcesz mnie oczyścić we własnych oczach...

— Nie!.. bądź co bądź... Anglia, która zgnoiła Wilde’a za jego grzech... jest dla mnie podlejsza stokroć, niż on... On został prawdziwym chreścijaninem...

— W więzieniu! I w tamtym wypadku... nikt przez *to* nie umarł!...

— A twoja ekspiacja? Płacisz wartością pełną... większą... Zabijasz geniusz... wszystko, co mógłbyś jeszcze stworzyć!...

— Dziękuję ci... Odejdź! Dasz mi znak, kiedy będzie szósta... gdybym spóźnił...

. . . . . .

Minuty posuwały się... ani prędzej, ani wolniej, jak zwykle...

A na dole pod oknami przechadzał się pewien człowiek — i pilnie wypatrywał, czy nie idzie ktoś, co mógłby przeszkodzić...

A na górze na tle szyby delikatnie rysował się cień człowieka, który pisał... prędko... prędko... od czasu do czasu zaś przyciskał czoło do szyby i patrzył na dół, czy niema jakiego znaku...

Człowiek na dole niespokojnie wyjmował zegarek — bladł — i zaciskał usta... Zdawało się, że już chce podnieść rękę...

Na górze wybiła szósta. Człowiek na górze odszedł od okna — podniósł wysoko flaszkę — i zrobił ręką ruch serdecznego pożegnania...

Szklankę niósł do ust...

Za chwilę cień na górze znikł. Człowiek na dole mocnym głosem zawołał: „Dorożka!“

Koła zaturkotały u pojazdu!...

---

1. ↑ Miortwyje srama nie imut

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Leopold Blumental.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Śmierć genialnego muzyka. (Z tragedyi życia)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Ankry
- Salicyna
- Alenutka
- Himiltruda
- Wieralee
- Draco flavus
- Seboloidus
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/

3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium